

ROZDZIAŁ VI

WICHROWY TRON

Grupa orków zabrała swojego dogorywającego pobratymca do twierdzy położonej u podnóża Gór Velothiego na granicy pomiędzy Skyrim a Morrowind, na południe od przełęczy Dunmeth łączącej obie prowincje. Golzagor na przemian odzyskiwał świadomość i ją tracił, a ostatnia rzecz, którą zapamiętał, to oblicze niosącego go Orsimera z faworytami i starszej samicy pochylającej się ze współczuciem nad rannym. Zmasakrowanemu zdawało się, że starowinka powiedziała coś w rodzaju „krytyczny stan” albo „egzotyczny sułtan”, ale wtedy nie potrafił już odróżnić majaków od rzeczywistości. Później odpłynął całkowicie na skutek bólu oraz utraty krwi, otoczony przenikliwym zimnem szczypiącym go w każdy centymetr kwadratowy ciała, nie uwzględniając nóg, gdyż stracił w nich czucie. Jego wybawiciele podejmowali tymczasem niestrudzone próby, by utrzymać gro-Barlurkę przy życiu, chociaż nie liczyli na cud.

Prześladowany przez los podróżnik leżał na posłaniu Bóg wie jak długo, bredząc w malignie. Kiedy gorączka wzrastała, miotał się jak ryba w sieci i musiano go przytrzymywać, by nie wyrządził sobie krzywdy. Wykrzykiwał wtedy hocki-klocki na temat smoków, jak gdyby właśnie z nimi wojował, a później, ni z gruszki, ni z pietruszki, znów zapadał w głęboki sen, oddychając płytko. Łowczyni w tych trudnych dniach, gdy nikt nie wiedział, czy nieznajomy wydobrzeje, opuszczała wielokrotnie twierdzę, by wrócić z upolowanymi ślizgaczami, martwym jastrzębiem, rzadziej z błotnym krabem, a następnie wręczała całą zdobycz orczycy. Ta natomiast skubała ptaka, opalała nad ogniem skórę zdartą ze zwierzęcia, ucinała skorupiakowi szczypczyki i – po uprzednim rozdrobnieniu ingrediencji – z tak pozyskanych składników preparowała w kociołku tajemniczy wywar. Miksturę kilka razy dziennie wlewano do ust balansującemu na granicy snu i jawy. Niekiedy krztusił się, innym razem zaciskał wargi, broniąc się przed smakiem gorzkiej mieszaniny, lecz nieustępliwi orkowie, jeśli trzeba było, siłą rozwierali mu szczękę. Uporczywe zabiegi – na pozór brutalne, a faktycznie wykonywane dla dobra schorzałego – przyniosły oczekiwany skutek: gorączka wkrótce ustąpiła i niebezpieczeństwo śmierci zostało zażegnane.

W ciągu kilku najbliższych dni Golzagor obudził się, co nie przyszło natychmiast, tylko stopniowo: najpierw począł słyszeć dźwięki, później przez zamknięte powieki przebijało się do jego umęczonych źrenic światło, aż w końcu otworzył oczy i w pełni świadomy, choć kołowaty, mógł zorientować się, że nie stał się dotąd w Sovngardzie – chyba że w krainie cieni stoją łożka, a krzywa powała biegnie coraz niżej i niżej, dotykając ziemi. W pierwszej kolejności biedny obieżyświat usiadł pomaleńku na krawędzi spania, a zmiarkowawszy, że w pobliżu nikt się nie znajduje, uniósł się i tak zakręciło mu się w głowie, że zaraz poleciał na brzydką komodę, zwalając z niej tałatajstwo.

– Oho, znów się zaczyna – powiedział gardłowy, żeński głos. – Urog! Zawołaj Dushnamuba! Ten drapichrust od nowa ma rzucawkę!

– Nie... – wymamrotał gro-Barlurka, próbując się podźwignąć. – Nic mi nie dolega... Ja tylko... straciłem równowagę – wycedził z trudem.

– Urog! Zmiana planów! Przyzwij wszystkich, nie tylko Dushnamuba! – skomentowała orczyca, pomagając mu przycupnąć na posłaniu.

Po chwili w izdebce pojawiło się pięć osób – wyłącznie Orsimerów. Jedną paszczkę od razu rozpoznał: była nią zaawansowana wiekiem znachorka, która kłoniła się nad nim, gdy cierpiał. Kobięcina w poszarpanej sukni chyba się uśmiechała, ale poznał to jeno po delikatnych ruchach kącików ust, ponieważ ogólny wyraz twarzy piekielnicy nie zdradzał żadnych pozytywnych emocji. Pozostałe gęby prezentowały się jednakże niezyczliwie: herod-baba w czerwonych barwach wojennych wyszczerzała zęby, z czego prawy był złamany; następna, o perkatym nosie, nosiła futrzany gorset; jegomość w średnim wieku z twarzą trupa przywdział pełną zbroję i chyba miał chrapkę, by opędzlować gościa. Wrażenie przychylnego sprawiał tylko nieco staroświecki samiec z bokobrodami, posiadający wyjątkowo krzacza-
ste brwi, ale – jak na złość – stał najdalej od legowiska, zaś cztery pozostałe kulfony zasłaniały mu widok na poszkodowanego. Golzagor myślał, co teraz zrobią te paskudy. Rzucą się na niego?!

– I po co było się podnosić? Jeszcze jesteś zbyt słaby, żeby paradować po forcie – skarciła go któraś orczyca dość uprzejmym tonem.

– Przepraszam... Gdzie przebywam? – zapytał gro-Barlurka.

– W Narzulbur, orkowej twierdzy pod moim dowództwem – warknął najbardziej rostry z tłumu.
– Jestem wódz Mauhulakh i co tu dużo mówić, ja tu rządzę! Cha, cha, cha! – zadzierał nosa.

– Och, dajże spokój – oburknęła wodza babunia. – Chełpi się przed innymi, bo sądzi, że zdobywa w ten sposób autorytet. Malacath ci błogosławił – rzekła do poturbowanego. – Przyznaję, że supono-

wałam już, iż zejdziesz z areny życia. Wybacz mi. – Ukłoniła się przed rannym, a tak niebywała skromność wprawiła Golzagora w osłupienie.

– Nic się nie stało... – zaręczał. – Poznaję... To pani podawała mi lekarstwo! Pamiętam jak przez mgłę... Orsimerowie wybuchnęli tubalnym śmiechem.

– Pani?! – chichotała staruszka. – Jaka tam ze mnie pani... Wszyscy orkowie są jedną rodziną, bez względu na to, z której fortecy przychodzą.

Wtenczas łazik stwierdził, że omylił się, biorąc ich za wrogo nastawionych. Gdyby istotnie ciżba była mu niechętna, to czy opiekowałiby się chorym, dawali remedia na niemoc trawiącą jego bezsilne ciało? Chyba górę wzięło wyobrażenie o meskinerii i barbarzyństwie tego ludu, lecz żeby tak nieprawdziwe zdanie podzielał ziomek?! Głęboko zakorzeniły się przesady wśród obywateli Prowincji Cesarzkiej!

Ostatecznie poradzono niedomagającemu, by pozostał w betach, jednak z uwagi na nudę, nie wytrzymał tego leżakowania, więc wkrótce, kiedy grupa rozeszła się, momentalnie odzyskał siły i wyszedł z pokoju, obejmując spojrzeniem budynek. Gościł w nietypowym obiekcie mieszkalnym – długim, lecz wąskim, tak że w korytarzu z trudem minęłyby się dwie osoby. Antyszambr prowadził do bardziej przestronnego pokoju jadalnego, a następnie znów przechodził do czyjej alkowy. Charakterystyczne, że w żadnym pomieszczeniu w elewacji nie tkwiły okna; wewnątrz oświetlały gęsto porozstawiane świece. Jaka mogła być pora dnia? Golzagor uchylił drzwi i wyciągnął szyję, rozglądając się bacznie. W twarz uderzyło go natychmiast orzeźwiające, chłodne powietrze, bowiem całą okolicę pokrywała niezbyt głęboka warstwa białego puchu, a kilka świerków zdawało się podejmować próby, ażeby zrzucić śnieżek z igieł. Długie cienie rzucane przez drzewa wskazywały, że zbliżał się wieczór.

Ork spacerkiem stąpał po ubitej ścieżce na podwórzcu, nie mogąc oderwać oczu od niezziemskiej panoramy. Twierdza Narzulbur przyłgnęła do podstawy masywu górskiego w taki sposób, że osadę, otoczoną palisadą, z jednej strony ocieniała niemalże pionowa, kamienna ściana wzniesienia. Ufortyfikowana sadyba mieściła w swych granicach gmach, który przed chwilą ork opuścił, a także trzy lub cztery pomniejsze drewniane konstrukcje – coś w rodzaju nieprzewiewnych altan z przeznaczeniem na składziki. Przy ostrokole wzniesiono ponadto posterunek wyrastający ponad ogrodzenie, zaś na jego szczycie wartę pełnił ktoś z mieszkańców fortecy, wypatrując czujnie potencjalnych zagrożeń. Nieco dalej wydrążono w skale wejście do kopalni, gdzie orkowie harowali jak dzikie osły, wydobywając urobek, aby w ten sposób zarobić dodatkowe środki na potrzeby społeczności. Część kopaliny przetwarzał od razu

kował, posiadający obok własny zakładzik z piecem hutniczym, a następnie wyrabiał oręż z pozyskanych materiałów.

Gro-Barlurka, zwiedzając Narzulbur, natrafił na starą orczycę garbującą na uboczu lisią skórę. Gdy ich spojrzenia się spotkały, przemówiła do niego:

– A ten znowu łązi! Mówiliśmy ci, żebyś odpoczywał. Byłeś poważnie ranny.

– Tak, wiem. Chciałem podziękować za uratowanie mi życia – ozwał się Golzagor. – Gigant okrutnie mnie zmasakrował.

– To bardzo nierozsądne podchodzić do niego, gdy pasie mamuty – łajała go. – Wielkolud połamał ci rękę i strzaskał nogi. Jeszcze chwila, a nie byłoby czego zbierać. – Zmarszczyła brwi. – Dobrze, że skończyło się tylko na tym.

– Owszem, ale to pani... to twoja zasługa – poprawił się. – I tych, którzy mnie przynieśli do twierdzy. To niezwykle... Jak udało ci się przywrócić mi zdrowie? – pytał autentycznie ciekaw.

– Och, zna się parę receptur przekazanych przez matkę – odpowiedziała. – Jej z kolei wiedzę o alchemii przekazała babka, babkę nauczyła prababka itd. Tradycja, mój chłopcze, tradycja.

– Czy jesteś wieszczką? – spytał zniecierpliwiony.

Kobieta jakby zamarła, skupiając na rozmówcy przenikliwe, czarne jak heban źrenice. Przypatrywała się Orsimerowi, myśląc o czymś, by wnet oznajmić:

– Dar jasnowidzenia zaniknął w naszym klanie kilka pokoleń temu. Nikt nie wie, dlaczego tak się stało. Być może Malacath ukarał nasz ród za jakieś występki znane tylko bogom – wyjaśniała. – Niemniej mam przeczucie... Mam pewność, że pragnąłeś tu przybyć. Wiedziałam, że cię spotkam prędzej czy później, że któregoś dnia postawisz nogę w osadzie, ażeby się ze mną rozmówić. Po prostu to wiedziałam. Nie spodziewałam się tylko, że Dushnamub przyniesie cię na plecach. – Uśmiechnęła się ponuro.

– Skąd czerpiesz tę wiedzę? – dziwił się Golzagor. – Nigdy przedtem się nie widzieliśmy, więc jakim cudem byłaś świadoma mojej wizyty w Narzulbur? Sama twierdzisz, że talent profetyzmu zgasł jak gorejący knot w przeciągu.

– Tak wiele pytań, a tak mało odpowiedzi... – westchnęła. – Chodź, powinniśmy zamienić kilka słów – rzekła, powstając. – Na dzisiaj wystarczy tego mizdrowania.

Staruszka skierowała się do magazynku, zaś zaintrygowany gro-Barlurka poczłapał jej śladami. Z kieszeni wyjęła pęk kluczy różnych wielkości i kształtów, wybrała stosunkowo niewielki, miedziany

i przekręciła go w zamku, odmykając drzwi do środka i nakazując machnięciem dłoni, by przybysz podążył za nią. Początkowo zakładał, że orczyca chce wręczyć mu jakiś przedmiot, dobywając co z lamusa, jednakże nestorka nawet nie zerknęła na ustawione w rzędzie beczki, leżące na ziemi worki czy flaszki kolorowych odczynników na półkach, tylko rozwarła włącz w podłodze i jęła zstępować po wysłużonej drabinie w ciemność kazamatów.

Wędrowiec przystanął zmieszany, ale wszystko wskazywało na to, że nie miał dużego wyboru – musiał zdążyć za nią. Do diaska, przecież starowinka nie podniesie na niego ręki! Tyle uszedł, tylu nieprzyjemności zaznał – rozprawił się z trollem, od berdysza oprawcy się wykpił, uciekł przed smokiem, kolos go stratował – i miałby zmarnotrawić szansę, by z kabalarką pogawędzić o tym wszystkim, co dokonywało się w Skyrim? Nawet jeśli straciła większość magicznej siły psychicznej, ślady mocy tajemnej pozostają niczym okruszki strawy w misce złaknionego; wierzył głupiutki jak pensjonarka, że spożył wszystko, a toć na dnie zawsze coś się ostanie.

Ork ruszył do czeluści. Zstępował z mozołem, zastając najpospolitszą piwnicę z drewnem na opał i przetworami. Cudowne powidła, dzemy i nalewki przykrywał kurz, co przypomniało mu, że od tak dawna nie miał niczego w ustach. Nad wyraz zwinna babuleńka przysiadła w tym czasie na skrzyni, a Orsimer zażartował:

– Będziemy ucztować?

– To zależy od tego, co Yatul i Urog upolują w dziczy. Te przysmaki magazynuję na zimę – chwaliła się słojami, których zawartość pewnie sama przyrządziła.

– Wolę nie myśleć, ile śniegu leży w tej dzielnicy w zimie...

– Sporo. Ale ad rem – ucięła. – Nie po to tutaj zlazłeś, by wysłuchiwać gadki szmatki – zauważyła, kładąc ręce na kolanach tak, jakby przygotowywała się do długiej debaty. – Twą duszę nurtuje mnóstwo wątpliwości, a ja otrzymałam polecenie, by pomóc ci najlepiej, jak potrafię.

– Kto cię do tego zobowiązał? – zdumiewał się ponownie Golzagor.

– Od dziesięcioleci nikomu w rodzinie nie udało się trafnie przewidzieć pogody na kolejny dzień. Moja prababka spędzała całe dnie na modlitwach wznoszonych do Malacatha i bóstw, ażeby zwrócili nam dar prorokowania, matula składała na ołtarzu ofiary z koźląt... Wszystko na nic – opowiadała smutna. – Jakby jakaś energia przyćmiewała szósty zmysł. Przed kilkoma miesiącami stała się jednak rzecz niezwykła. – Wbijała wzrok w wojażera, a na jej fizjonomię kierował się snop światła z włązu powyżej. – Miałam sen. Oto do twierdzy przybłąkał się mężczyzna, obcy. Całą okolicę spowijał gęsty,

nieprzenikniony mrok, ale gdy tylko nadszedł, z jego zbroi uderzyła jasność tak wielka, że zalała blaskiem Narzulbur, oślepiając mnie i pozostałych orków. Przybliżył się i zadał jedno pytanie: „Czy jesteś wieszczką? Szukałem cię”. Później usłyszałam w myślach polecenie, by wyjaśnić wszystko, o co będzie indagował. Wówczas światłość bijąca z jego pancerza rozszerzyła się, okrywając Wschodnią Marchię, Skyrim, Tamriel i wreszcie, sięgając niebios, rozwidniła cały Nirn – referowała beznamiętnie.

Gro-Barlurka przeciwnie: zadziwiająca historia pobudziła go, serce tłoczyło mocniej niż zwykle krew, aż uczuł ciepło rozchodzące się od klatki piersiowej do koniuszków palców u nóg.

Zatem miał rację! Nie omylił się, przypuszczając, że ostatnie rewelacje to coś więcej niż kaprys losu i przypadkowy splot wydarzeń. Ponadto, jeżeli miewał ekscentryczne sny, podobnie jak kobiecina, którą dopiero co poznał na drugim końcu świata, to również świadczyło to o tym, że ich drogi musiały się skrzyżować. Ach, ten kismet! Każdy jest kowalem swego losu, ale ileż to razy los w piecu życie też wypalał, gdy kowal oparzał się? Kiedy można co zdobyć własnym wysiłkiem, kiedy wkłada się w co całą duszę i ostatecznie osiąga cel, mówi się, że sam człowiek na to zapracował, jednak gdy przychodzi nieurodzaj, dzikie zwierzęta niszczą uprawy lub do celu nie udaje się dotrzeć, twierdzi się, że los tak chciał! Albo wychodzi się z założenia, że wolny jak ptak zawsze decyduje o sobie, albo kieruje nim siła wyższa, a nie w jednych okolicznościach tak, w innych inaczej.

A jeśli jedno nie wyklucza drugiego...? Może istnieje predestynacja, tyle że taka, która się nie narzuca, nie jest nachalna? Nikt przecie nie wybrał miejsca, gdzie się urodził, nie upatrył sobie zawczasu koloru oczu i włosów, aliści spełnia się tam, gdzie został posłany, robiąc to, na co ma ochotę: wykorzystuje dane możliwości lub nie, decyduje się na taki wariant lub inny w ramach, bądź co bądź, ograniczonych alternatyw. Wtedy można uznać, że Orsimer sam wybiera drogę, jednak kto inny ją wybrukował...

– Nad czym łamiesz sobie głowę? – przerwała dumania starowina, lecz odpowiedziało jej wyłącznie milczenie interlokutora. – Jestem zaskoczona tą sytuacją podobnie jak ty. Tyle lat, tyle błagań zaniesionych przed trony istot najwyższych... A tu nagle coś takiego. Rach-ciach i przepowiednia spadła z nieba – snuła wątek, dywagując na tematy, które orka nieszczerze interesowały. – Najzabawniejsze, że ciągle uważam, iż to pierwszy i ostatni raz. Nie sądzę, by omen kiedykolwiek miał się powtórzyć.

– Powiadasz, że zostałam zobowiązana, by rozwiązać moje wątpliwości – mruknął Golzagor.

– Nie inaczej. Oczywiście nie myślę, że wszystkie rozумы posiadałam – zastrzegła, poprawiając jedyny warkocz na głowie ogolonej poza tym pasmem do skóry. – Pytaj, a ja dołożę starań, żeby trafić

po nitce do kłębka. Zakładam, że to bardzo ważne. Dla ciebie. – Ostatnie słowo wyróżniła emfazą.
– Nie wiem tylko dlaczego.

Orsimer, w bieżącej chwili ani na cal z głupia frant – tak jak podczas dialogu ze stangretem – ponieważ w towarzystwie orczyca sam czuł się przygłupi jak jakiś foryś, postanowił mówić otwarcie, by uzmysłwić sobie, co się święci:

– Mnie także mamidła nawiedzają, kiedy śpik morzy – zwrócił się do niby-wieszczki. – Liczylbym, że je skomentujesz.

– Ach, interpretacja obrazów widzianych w trakcie spania i słów podówczas usłyszanych... To pradawna sztuka, ale szlachetna, wymagająca roztropności – wyjaśniała staruszka. – Niewątpliwie moi antenaci mieliby więcej do powiedzenia na ten temat... Tyle że babkę zabiła plaga, a dziadek nie żyje od kilku dekad, więc marny z nich pożytek. Ale jeśli jest to konieczne, podejmę wyzwanie – zawyrokowała z zapalem. – Rzeknij, bracie po orsimerskiej krwi, cóż takiego cię trapi? Zakładam, że nie powierzono ci żadnej misji expressis verbis, bo wtedy nie naradzilibyśmy się nad tą troską, racja? – odnotowała przemyślnie.

– Ułatwiłoby sprawę, gdyby powiedziano mi prosto z mostu, w czym rzecz – zgodził się Golzagor, szczerząc zęby w uśmiechu. – Żałuję, że jest inaczej. Ech... No dobrze – sapnął, sposobiąc się do zrelacjonowania treści majaków. – Zaczęło się po przeprawie do Skyrim...

W piwniczce z konfiturami gro-Barlurka i kobieta, nie nękanii przez ciekawskich, spędzili godzinę, aż do nastania zmierzchu. Niezadługo światło wpadające przez właz okazało się niewystarczające, dlatego orczyca pstryknęła zwyczajnie palcami, a ponad nią pojawiła się nieduża, iskrząca się kula, emitująca biało-niebieski blask, który rozjaśnił pomieszczenie. Tę czynność powtarzała jeszcze parokrotnie, bowiem po upływie kilkunastu minut magia gasła i znów zapadały egipskie ciemności.

W tym czasie wędrownik odtworzył przebieg snów, dowiadując się, że pierwszy z nich – z Khajiitem Ma'dranem – był poświęcony zagadnieniu przeznaczenia, zaś za najistotniejsze uznano słowa: „nie dzieje się nic, co nie byłoby przepowiedziane”, „będziesz w Ciemnościach, ale jeśli pójdziesz za podszeptem Opatrzności, odzyskasz swój tron”, a także nakaz kocura: „podążaj za Światłem”. W opinii staruszki ktoś, prawdopodobnie bóstwo, zesłał takie imaginacje, ponieważ Golzagor został do czegoś wyznaczony, o czym mówiła przepowiednia. Niestety, treść proroctwa pozostawała tajemnicą. Dychotomia Ciemność – Światłość również stanowiła zagadkę, ponieważ dwupodział często wykorzystywano w Tamriel jako metaforę opozycyjnych wartości i uczuć: zło – dobro, kłamstwo – prawda,

brzydota – piękno, cierpienie – przyjemność, a nawet posługiwano się tą przenośnią w celu zobrazowania różnic pomiędzy obiektami, osobami czy miejscami: Nirn – Sovngard, Otchłań – Sovngard, człowiek – elf, Secunda – Masser itd.

Drugie widzenie dotyczyło przegranej przez Orsimera partii szachów z Jonem. W tym przypadku orczyca zaakcentowała ogólne przesłanie, które można sprowadzić do stwierdzenia: „spasować i wygrać”. Jej zdaniem sen ów przekazywał następującą myśl: w pewnym momencie życia obijający się po bruku łazik stanie przed trudnym wyborem i zostanie zmuszony do podjęcia ważkiej decyzji. Dylemat, jak przypuszczała, sprowadzi się do wyboru między wojną a pokojem, aktywnością a biernością. Golzagor powinien będzie zdecydować się na kapitulację bądź rezygnację z zamierzeń, co zapewni mu zwycięstwo w dziwny i niewytłumaczalny sposób.

Tyle na temat koszmarów. Wróżbitka zupełnie nie orientowała się w materii smoków i ożywionych zwłok, a gdyby się dłużej zastanowić nad poradami najstarszej damy w Narzulbur, okazałoby się, że jej wsparcie w niewielkim stopniu rozproszyło wahania gro-Barlurki, lecz obieżyświat i tak wyrażał wdzięczność za to, co przystępnie mu oznajmiła. Przede wszystkim jednak jej wskazania umocniły wiarę orka w posłannictwo, cel życia, którego ciągle nie pojmował. Gdzieś znajdowała się wieszczba ukazująca nadchodzące wydarzenia, natomiast Orsimer – zwyczajna istota, stworzenie porzucone przez biologiczną matkę – odegra w tej historii kluczową rolę. Utwierdził się pyszałkowato w przekonaniu o niejakiem mesjanizmie, zapragnął sławy chrobrych rycerzy, chwały dzielnych wojowników rozprawiających się z bestiami, geniuszu politycznego osoby jednoczącej na nowo Skyrim...! Wyciągnął daleko idący wniosek – zupełnie nieprzystojny, a godny raczej barda bawidamka z gospody „Pod Chorągwiąną Klaczą” – że czekała go świetlana przyszłość. Jakże puszył się daremnie! Gdyby tylko wiedział, co naprawdę go czeka, nie cieszyłby się jak dziecko z cukrów.

Orka frapowała tylko jeszcze jedna sprawa, dlatego zapytał:

– Po co schodziliśmy do sklepu? Czy nie można było zamknąć się w składziku powyżej? Tam również nikt nie podsłuchałby naszej konwersacji – wywnioskował wcale niegłupio.

Kobieta parająca się analizą fantazmatów i przygotowywaniem mikstur odrzekła szelmowsko:

– Chciałam zobaczyć, czy zdołasz spełnić po szczeblach. Widzę atoli, że nadal sprawia ci to trudności – nadmieniła. – Przyrządzę napitek na wzmocnienie.

– E tam! – palnął ork. – Czuję się zdrów jak rzepa. O, proszę spojrzeć! – Wchodząc po drabinie, począł stawiać nogę co drugi stopień, lecz ręka zsunęła mu się z żerdzi i nieomal spadł. – Uch, do biesa! O mały włos!

– O tym właśnie mówiłam... – Kręciła głową z politowaniem. – Kto za młodu hula, skacze, ten na starość za to płacze – zmyła głowę Orsimerowi. – Chodź, chojraku. Doleję ci do kielicha trochę likieru – zachęcała go. – Wywar otrzyma lepszy smak... A na pewno przyjemniejszy.

Czas spędzany z krajanami w twierdzy mijał Golzagorowi nad wyraz miło. Budził się skoro świt, a następnie pomagał w polowaniu, płosząc zwierzęta w głuszy, aby wpadły w pułapkę zastawioną przez łowczynię. Wypatrzywszy potencjalny obiad, Orsimer skradał się pomiędzy zaroślami, a gdy zbliżył się dostatecznie, wyskakiwał z gęstwy, machając rękami jak opętany, wydając komiczne dźwięki oraz porykując na całe gardło. Ofiara pokazywała wówczas pięty, gnając na oślep wśród chaszczy, natomiast przyczajona Yatul, siostra wodza, oddawała strzał z łuku, trafiając idealnie w dziewięciu przypadkach na dziesięć. Zdobycz zapewniała pożywienie dla mieszkańców Narzulbur, zaś gro-Barlurka szkolił się przy tym, ażeby rozpoznawać zapachy zwierzyny, ucząc się prostego schematu: jeleni, zając, lis, łos – nieszkodliwe; niedźwiedź, wilk, troll, kot szablastozębny – groźne. Nie miał jak dotąd sposobności, by obznajomić się ze sztuką łowiecką, niezbędną w samotni, ponieważ przebywając w mieście, gdy był głodny, kierował się na targ warzywny lub bezpośrednio w karczmie kupował gotowy posiłek, nie myśląc wcale, jak wiele wysiłku trzeba włożyć, żeby wprawdzie schwytać smakowite mięso.

Później wracali do osady, spożywali śniadanie, a wieszczka, która stale powtarzała, by jej tak nie nazywać, warzyła dla orka miksturę dodającą sił w zdrowiu – zupełnie inną niż roztwór podawany mu w gorączce. Po kilku nieudanych próbach, gdy Golzagor uzyskiwał ciemnokasztanową zawiesinę zamiast półprzezroczystego, zielonego płynu, wreszcie podołał wyzwaniu i samodzielnie stworzył mieszankę. Wystarczyło ugnieść tłuczkiem w moździerzu morę tapinellę i kilka łuskwiaków, wykonując powolne, okrężne ruchy, a jeśli by grzyby okazały się zbyt twarde, należało dolewać po trosze do naczynia wrzątku, a na koniec zagotować całość w połowie garnca wody, odcedzić i pić po ostygnięciu, lecz nie więcej niż kwartę na osiem godzin. Tak poznał podstawy techniki alchemicznej.

Niebawem ork na tyle się wykurował, że brał kilof i kuł w ścianach kopalni, szukając żelaza pospołu ze współplemieńcami. Przemierzając podziemne chodniki, odczuwał okrutny war i zaduch przesiąknięty słonym zapachem potu Orsimerów urabiających sobie ręce po łokcie. Trudny był los górnika, jednakże gro-Barlurka nie krzywdował siebie, fedrował chętnie, a w przerwach od pracy gaworzył z rodakami. W ten sposób starał się spłacić dług zaciągnięty w twierdzy wodza Mauhulakha, chociaż miał przy tym świadomość, że ocalenie czyjego życia to należność, której nie da się łatwo spłacić – choćby i tyrać do grobowej deski.

Interesujące, że swego czasu dokopał się do nietypowej kopaliny, z pewnością nie magnetytu czy innego minerału, dlatego pokazał go przodowemu, a ten skierował Golzagora do kowala. Kiedy rzemieślnik zobaczył twardy, tabaczkowo-zielony urobek, aż podskoczył z wrażenia, zaś baki nieomal stanęły mu sztorcem na policzkach. Zawyrokował rozweselony, że gość w fortecy odgrzebał *orichalcum* – stosunkowo rzadko spotykany kryształ, piekielnie trudny w obróbce, lecz ceniony przez płatnerzy ze względu na wytrzymałość, a przez sztygarów – od tego należało zacząć – z uwagi na niebagatelną wartość rynkową. Jeśli trafiła się jedna bryłka, pod powierzchnią musiało znajdować się ich więcej, a to zapowiadało użytek dla całego Narzulbur.

Przez kilka dni Golzagor korzystał z gościnności orków, gdy pewnego popołudnia odnalazł przypadkowo w wewnętrznej kieszeni zaklejoną kopertę – nawet nieszczególnie wymiętą. Uwzględniając różne perturbacje, byłby skłonny przypuszczać, że korespondencja wyglądać będzie jak psu z gardła wyciągnięta, ale nie: lak nadal wydawał się nienaruszony, a rogi, dawniej zbiegające się modelowo pod kątem prostym, tylko lekko się zaokrągliły. Nie licząc prawie niezauważalnych plamek jakiegoś brudu bądź tłuszczu, list sprawiał wrażenie niedawno nadanego i odbiorca nie powinien się zorientować, że posłaniec przeszedł w pewnym sensie przez piekło. W każdym razie niedostarczona epistoła stanowiła dla podróżnika *asumpt*, aby pożegnać się z orkami, przekazać pocztę od Svena z Rzecznej Puszczy adresatce oraz skierować swoje kroki do Wichrowego Tronu, siedziby gromowładnych, spotykając się ponownie z Ulfrikiem, Ralofem i Mortenem. Dushnamub, kowal, przyszykował dla odchodzącego gro-Barlurki upominek.

– Cobyś pamiętał o braciach i naszej skromnej twierdzy – ciągnął zabawnie rękodzielnik, chowając co za plecami – ukułem dla ciebie z pierwszych kawałków rudy *orichalcum* znalezionych w Górach Velothiego ten oto podarek. Liczę, że przyjmiesz go, aby chronił cię przed gigantami, smokami i innymi maskarami.

Wtedy pokazał ukrywany przed wzrokiem orka przedmiot. Kuty w palenisku hełm, zielonawy jak sam minerał, z którego go wykonano, prezentował się solidnie i zarazem okazałe: dzwon sporządzono kompetentnie, z dużą wprawą, a dla większej wygody wyłożono go w środku wyściełaniem pikowanym we wzór czterolistnej koniczyny, natomiast zasłona z niewielkimi wizurami – czy też przyłbica, jak niektórzy tę część określają – została osadzona na masywnych zawiasach, dzięki czemu nie zużyją się one po wielokrotnym podnoszeniu i opuszczaniu okrywy nie najpiękniejszej twarzy noszącego. Cały klappvisier wraz z czepcem kolczym strzegł czerepu dokładnie niczym matka mająca na pieczy ukochane dzieciśka. Jeżeli za karabelę w Białej Grani żądano stu pięćdziesięciu septimów, to za tak cudnie wykute nakrycie głowy, odbijające biel śniegu leżącego pod nogami zbrojowego – namyślał się obdarowany – zażyczo by sobie dwa albo trzy razy więcej. Toć Golzagor winien dobrodziejom co ofiarować, nie na odwrót!

Długo wymawiał się od daru, gdy do dyskutujących dociągnął wódz Mauhulakh, chłop rostry jak dąb, i w żołnierskich słowach natychmiast trafił wędrowcowi do przekonania. Dań należy przyjąć, nieprawdaż?

Niezadługo Orsimer przekroczył drewniane podwoje, wyprowadzając się z twierdzy. Pospieszył do Wichrowego Tronu, obrzucając wzrokiem każdy ruch liści w gęstwinie, jakby czatował na przechodzącego traktem rozeźlony gigant lub głodne smoczysko, aczkolwiek szelest okazywał się zawsze zwykłym szumem powietrza. Nie uszedł gościńcem nawet wiorsty, kiedy zaczął napotykać innych ludzi, dzięki czemu poczuł się bezpiecznie. Mijał włościan zmierzających do miasta i pojedynczych żołnierzy w błękitnych mundurach, stojących na szyldwachu, jednak nikt nie zwracał na obcego uwagi. Orkowie z pobliskiego Narzulbur regularnie wizytowali stolicę Wschodniej Marchii, handlując wydobywym kruszcem i nabywając potrzebne przedmioty, których nie mogli wyprodukować we własnym zakresie, toteż widok zielonoskórej istoty, idącej w stronę grodu, nie wzbudzał podejrzeń w większości strażników. Jeden tylko nadgorliwy argus, na którym już na pierwszy rzut oka diabeł groch młócił, w zakręcie jaru zdecydował się na kontrolę przychodnia, jednakowoż gro-Barlurka rażno odkrzyknął:

– Niech otoczy cię Światłość Talosa, wartowniku! Jak miewa się Ralof psubrat?

Stróż nie oczekiwał takiego komentarza, więc wybąkał zaledwie:

– Dobrze... Zdecydowanie jest wesół.

– A powiedzcie, łaskawco, kędy to przebierać nogami, by zawędrować do farmy Hlaalu?

– kontynuował na dziarską nutę.

– Trza minąć stajnię – wyjaśniał żołnierz gromowładnych, nawet nie orientując się, że to on odpowiadał na pytania inspekcjonowanego – nie wchodzić do miasta i iść wzdłuż rzeki. Farma Belyna Hlaalu to drugie gospodarstwo po prawej stronie drogi. Zagroda należy do szaroskórego, elfa – zaznaczył – ale to porządny Dunmer. Dużo pracuje...

– Rozumiem, dziękuję za informację – odparł Golzagor, odchodząc spokojnie.

– ...nie to, co te ścierwa w grodzie – dokończył gromowładny.

– Tak, tak. Bardzo dziękuję. – Orsimer oddalił się, z łatwością unikając bezcelowej i długiej rewizji.

Cerber nie kłamał: trakt wiódł pomiędzy iglakami niemal całkowicie pokrytymi śniegiem, na lewo znajdował się most – solidna, kamienna przeprawa ponad Białą Rzeką, prowadząca do wrót Wichrowego Tronu, dalej pomieszczenia dla koni, a kilka minut drogi później – uroczę obejścia otoczone niewysokimi chrustniakami, przy których resztki zmarzniętej trawy poszczypywały pstre kozły, a zauważając przechodzącego orka, podnosiły łby zza wiklinowego płotu i wyprawiały brewerie, mecząc wściekle, jakby rzeźnik nadchodził. Wrzawę posłyszał chudy jak szczapa kmieć: nieogolony, z wysokim czołem i o karnacji w kolorze ciemniejszej platyny; bezspornie mroczny elf. Gable zarzucił na ramię, podszedł do ogrodzenia i zagabnął orka, czy czegoś potrzebuje. Widocznie w tej okolicy Dunmerowie trzymali etranżerów na dystans, bo choć rodzinna prowincja elfów, Morrowind, leżała tuż za progiem, na obcej ziemi czuli się nieswojo i z rezerwą odnosili się do przywłok, jak gdyby nieznajomi chcieli ich obrać do gołej skóry. A sami to niby miejscowi?

– Witaj, chłopie! – kordialnie pozdrowił go podróżny. – Przynoszę przesyłkę aż z Rzecznej Puszczy. Pan Hlaalu, zgadza się? – upewniał się.

– No – bąknął. – Jeśli z Rzecznej Puszczy, to pewno dla Camilli, sedura – zatrącił z elfiego. – Przyjechała na zimowe wywczasy do agnatki.

– Owszem, słyszałem – zgodził się umyślny, wyciągając kopertę. – Mógłby ją pan poprosić? Rozhowor pochwyliła uchem rzeczona krewniaczka. Wyskoczyła z chałupy, zarzucając na ramiona połataną jesionkę, dostąpiła rozmawiających i zwróciła się do gońca:

– Camilla poszła do miasta za sprawunkami. – Błysnęła oczami, spoglądając na list. – Kwadrans wcześniej byś pan przyszedł. Minęliście się. – Zmarszczyła brwi, gdy powiał podmuch zimnego wiatru.

– Do zakupów to zda się panusia, a jak trzeba szczapy na opał przynieść z komórki... – wzdygnął się gospodarz, dopowiadając kąśliwą uwagę.

– Pan Hlaalu bardzo surowy – wzdychała kobieta. – Camilla jest moim gościem i nie ma obowiązku chodzić jak koń w kieracie.

– Ech... – Dunmer teatralnie machnął dłonią. – Załatwcie tę sprawę, ja wracam do roboty – rzekł elf, zakasując ręce i ukazując spracowane, żyłaste kończyny, które zaraz przystąpiły do pracy trudnej jak orka wyposzczonym sprzężajem.

Orsimer przekazał epistołę od barda Svena kuzynce adresatki i z wolna ruszył z powrotem w stronę Wichrowego Tronu – zadowolony, że wreszcie spełnił prośbę trubadura letkiewicza.

Po pewnym czasie obiekt westchnień pieśniarza dotarł na farmę z koszem różnych frykasów. Camilla przekroczyła próg ciepłej chałupy, zdejmując chustę zawiązaną pod bródką jasną jak cymes-porcelana, na drewnianym kołku powiesiła paltot, a rozsznurowując trzewiki, zerknęła na lustro, w którym odbijała się jej delikatna sylwetka. Pomyślała, że pobyt u dawno niewidzianej kuzynki – przeciągający się ze względu na pojawienie się smoków – sprawił, że przybyło jej kilka funtów. Chętnie wróciłaby jużci do Rzecznej Puszczy, do brata i prowadzonego razem z nim składu, ale powozy do Białej Grani nie kursowały prawie wcale: wszyscy bali się, że żmij najdzie dylizans, zaśie gromowładni, pochłonięci zaogniającym się konfliktem z Cesarstwem, odmawiali wyprawienia eskorty. Mistrz Hlaalu, chlebowadca pociotki, patrzył wilkiem na gościa, jakby była jaką mieszkanką zakładu dobroczynnego, bo ani pracować w polu nie mogła – jako że filigranową dzierlatkę przyzwyczajono do układania pasjan-sa przy herbacie, a nie przerzucania buraków – ani grosiwa nie przynosiła, a jeszcze trzeba łożyć na jej utrzymanie.

Panie dzieju, toć nie panny wina, że utknęła w tym kaczym dole niczym trebusz w bagnie. Wszak nie potrudzi się do domu pieszo, ponieważ stópki delikatne przemarzną na kość!

Camilla Valerius umierała z nudów. Z krewną przedyskutowała chyba każdy temat: podśmiewały się z apodyktyczności pana Hlaalu, omówiły sytuację rodzinną, położenie wojsk obydwu walczących stron, powrót latających gadów, nagłe zmartwychwstanie nieboszczyków w wielu miejscowościach Tamriel, pogodę, tajemnice miłosne i wiele innych mniej lub bardziej trywialnych spraw. Dowiadując się, że kurier dostarczył dla donny wiadomość, rozpromieniła się i zatrzasnąwszy drzwi pokoiku, z drżeniem serca przetrząsała szuflady w poszukiwaniu ulubionego nożyka o wyglądzie miniaturowego bułatu wojowników Alik'r z Hammerfell, by rozciąć nim kopertę. Podekscytowana szybko zaniechała szperaniny, złamała pieczęć, gwałtownym ruchem alabastrowej dłoni wy dostała liścik i wodziła

zielonymi tęczęwkami ócz po literach, czytając ciszką we wpadającym przez okno jasnym świetle nieba, które odbijało się od toni Białej Rzeki i kry, następujące słowa:

Droga Koleżanko!

Zwracam się do Ciebie z gorącą prośbą, licząc na Twe wsparcie po starej znajomości. Posłaniec przynoszący wiadomość, którą właśnie czytasz, niejaki Golzagor gro-Barlurka, ork z Cyrodiil, żywo interesuje się problemem smoków i używanego przez nich języka. W moim podręcznym księgozbiore nie znalazłem wielu przydatnych informacji, toteż pomyślałem, że mogłabyś użyć swych wpływów i przekonać Jego Magnificencję, by umożliwił wstęp orkowi do Arcanaeum. Powiedz, że pracuje dla mnie, że to ważna sprawa dla jarla Balgruufa Większego etc. Wiesz, o co chodzi. Odwdzięczę się w swoim czasie.

Z góry dziękuję za Twe wstawiennictwo i łączę wyrazy szacunku,

Farengar

PS. Uwważaj na Enthira – to szalbierz. Kostur, który mi sprzedał, zamiast przywoływać golem, razi prądem osoby używające magicznej laski. Mojemu asystentowi do tej pory nie odrosły brwi.

Nierozgarnięty kurier znajdował się już zbyt daleko, by go przywołać i naświetlić fatalną chybę.

Wichrowy Tron. Starożytne miasto, w którego wąskich, ciemnych uliczkach rządził hulający wiatr. Metropolii nie otaczał zwykły częstokół, lecz wysokie, kamienne mury oraz rzeka pełniąca funkcję podobną do roli fosy naokoło kasztelu. Cytadela, odgradzona dodatkowo wewnętrznymi murami, wydawała się nie do zdobycia, a mimo to bryza znad Morza Duchów znajdowała sobie przesmyk i wdzierała się między alejki jak agresor napadający na gród.

Nie tylko zresztą obwarowania wykonano z kamieni; z tego materiału wzniesiono bowiem ad litteram wszystko: schody, budynki, przypory, węgry wspierające nadproża ogromnych wrót, konsole podtrzymujące rzeźby... Na wspomnianych kroksztynach wznosiły się marmurowe posąжки założyciela miasta, Ysgramora, a tablice z boku upamiętniały ważne wydarzenia. W samym środku grodu mieszkańców i przyjezdnych witałby może pusty plac, ale akurat tam umiejscowiła się zimna, surowa gospoda – „Pod Knotem”, jak wynikało z szyldu – i jedynie pąsowe światełka w oknach oraz zagadkowa nazwa

zachęcały do odwiedzin. Sama oberża natomiast, przyglądając się jej bystro, sprawiała raczej wrażenie domu zajezdnego bądź przytułku dla deputatów z innych krain, albowiem wielkością przewyższała bodaj i „Śpiącego Giganta”, i „Chorągwaną Klacz”. Nawet lukarny na poddaszu iluminowały blaskiem, tak jakby każdą izdebkę, każdą alkierz wynajął strudzony podróżny, zmęczony nieskończoną odyseją wśród śmiercionośnych dmuchów bestii i toczących boje żołnierzy.

Rynek, jakaś dziwota, na uboczu przysiadł zamiast w sercu miasta – wszak centralna parcela zajęta przez austerię. Tuzinkowy był to plac targowy: nie za duży, parę kramów z rupieciami, typowa jatka, stragan ze starzyzną i generalnie groch z kapustą. Budy stały vis-à-vis kamienic, prawie blokując przejścia do nich, zaś w przyziemiach budynków mieścił się dom kowala, jak również „Biała Ampułka” – skład z przyrządami dla alchemików. Dalej, minąwszy żołdaka łypiącego żmijowym okiem, ciasne zakamarki wiodły na cmentarz i do komnaty umarłych, by następnie prowadzić między wystawnymi gmachami mieszkalnymi, w których najmajętniejsi miejscowi, zapewne potomkowie w linii prostej magnaterii z poprzednich epok, pożywali lukullusowe obiady. Rosłe murowańce poniekąd nachylały się nad chodnikiem pośrodku, częściowo osłaniając piechura przed mroźnym czasem, jakby pragnęły utulić go, ochronić swym cieniowaniem przed niedopisującymi warunkami atmosferycznymi. To niepodważalnie przyjemniejsza część miasta: elegancka, schludna, zadbana. Nawet niepokażne sterty śniegu leżały w kątach zamiecione, przez co puch nie zalegał na środku i tak malutkiej ulicy.

Na pobliskim kutym ogrodzeniu, opasującym czyje ciepłe gniazdko, poniżej mosiężnych szpiców stylizowanych na archaiczne spisy atmoreńskich knechtów lub dzidy dzielnych pikadorów, zawisła tablica z nazwą tego wdzięcznego zakątka: to *Valunstrad*, aleja Odwagi, hołd złożony nordyckim bohaterom przelewającym mężnie krew w antycznych bitwach na terenie Skyrim. Wyjaśniły się powody, dla których wieńczące oplot groty budziły skojarzenia z lancami! Imponująca bocznicą miała bowiem ożywiać w pamięci wspomnienia o czcigodnych wojownikach i najświetniejszych witezach – stąd ten quasi-militarny charakter ornamentów. Nic wyjątkowego, gdyż od najdawniejszych er wojaczka dla Nordów była tym, czym skrzydła dla ptaków; nie wyobrażali sobie życia bez walki i od dziecka szkolili się w sztuce władania bronią białą.

Golzagor, krocząc naprzód, zawędrował do wschodniej części miasta. Niestety, nie tego się spodziewał, albowiem dzielnica odróżniała się od Valunstrad chyba pod każdym względem. Brudne, odrapane budynki straszyły brzydotą, niezgrabnością i biedą, zaś kobiety bez ostrzeżenia wylewały pomyje z okien wprost do rynsztoka, obryzgując niekiedy przechodniów na ulicy, co pociągało za sobą

salwę ordynarnych przekleństw, aż uszy puchły. Nieczystości nikt nie chędożył od tygodni, tak więc brudna woda z resztkami jedzenia zalegała w ścieku, wydzielając fetor podobny do smrodu rozkładających się zwłok. Odór najwyraźniej nie stał gminowi solą w oku, ponieważ elfie dzieci bawiły się nieopodal, rzucając kamieniami w kota, który wymknął się oprawcom i uratował skórę, wspiąwszy się po chropowatej ścianie na poszarpaną banderę wskazującą na dachu kierunek wiatru.

W żadnym miejscu tego siedliska pauperyzmu nie dało się dostrzec roślinności: drzew czy kwiatów; wszędzie pokruszone kamienie i wypłowiałe mury ruder zasnuwały obskurne ulice, nie dopuszczając, by nieliczne promienie słońca rozświetliły zapuszczone, wprost lepkie od brudu kąty. Wstrętne slumsy sąsiadowały jeszcze z drogą prowadzącą do przystani, jednak po zapoznaniu się z widokami przyprawiającymi o mdłości ork nie miał ochoty, by wdychać dodatkowo zapachy gnijących, stale zanurzonych w kipieli desek portu.

Naraz przystąpił do niego chłopiec – ten sam, który niedawno usiłował ukamienować kota – i prosił o monetę lub dwie. Orsimer przypomniał sobie biedną dziewczynkę podróżującą z rodzicami, spotkaną na szlaku, gdy wojażował w towarzystwie fiakra i „Szczeżui”, dlatego ujęty współczuciem zajrzał do trzosu, wydobyl septima i wręczył go wyrostkowi, zaznaczając przy tym, że sam ostatnimi czasy najadł się biedy, więc w jego kaletce również grosz grosza nie goni. Nim wzdry się skończył zdanie, inny małolat z bandy nadbiegł, chwycił mieszek gro-Barlurki i już hałastra zwiewała między beczkami, kierując się w kręte uliczki, by zgubić ewentualny pościg. Golzagor ruszył za złodziejaskami, lecz po chwili leżał jak długi na bruku. Za górą drwa schowała się wcześniej dziewczyna, a gdy pędzący co tchu ork ją mijał, naprężyła sznur przeciągnięty w poprzek przejścia. Tak oto pogoń zakończyła się szybciej, niż zaczęła, podobnie jak zwiedzanie Wichrowego Tronu.

Rozeźlony własną naiwnością zdecydował ostatecznie, by odnaleźć jarla Ulfrika Gromowładnego i poznanych towarzyszy, którzy – jak słusznie przypuszczał – rezydowali w zamku, a w zasadzie – pałacu, Pałacu Królów. Zdawało się, że Morten, jeden z uciekinierów z Helgen, wspominał o tej budowli, jednak nie przedstawił wówczas żadnych szczegółów. Palatium, wysunięte na północ, nie prezentowało się szczególnie okazale, choć może spowodowane to było tym, że rezydencja niezgorzej komponowała się z pozostałymi elementami architektury: podobnie jak inne budynki kasztel wzniesiono niemal wyłącznie z kamienia i przypominał on bardziej fortecę niż obiekt użytkowy, tj. taki, gdzie ktokolwiek przy zdrowych zmysłach chciałby na co dzień mieszkać. Bryła sprawiała wrażenie topornej, jakby wyjętej spod dłuta rzeźbiarza mizogina, który považał tylko stronę praktyczną swych wytworów, a lekcewazył

aspekt estetyczny. O archaizmie konstrukcji świadczyły też umieszczone tu i ówdzie płyty z wykutymi nazwiskami władców – zabytki przeszłości przywołujące przedpotopowe historie: tu wspomniano Haralda, tam Wulfartha z Atmory, a jeszcze w innym miejscu – Olafa Jednookiego: pogromcę smoka Numineksa, zdobywcę barbarzyńskiego Pogranicza i Najwyższego Króla Skyrim w latach 1E 420 – 452.

– Ach, tak... – przypomniał sobie Orsimer. – Olaf uwięził bestię w Smoczej Przystani. Spryciarz – mrucał pod nosem sam do siebie. – Gdyby to było takie proste...

– Witamy turystę w nowej stolicy Skyrim! – odezwał się ktoś.

Golzagor obejrzał się i zauważył idącego szybkim krokiem mężczyznę w charakterystycznym okryciu: za czapkę służył mu niedźwiedzi łeb, zaś łapy zabitego zwierzęcia stanowiły naramienniki, zatem jegomość wyglądał en face tak, jakby dziki zwierz rzucał się nań od tyłu. Niebieskie wstawki podpowiadały natomiast, że zaliczał się do gromowładnych.

– Wichrowy Tron stolicą Skyrim? – zdziwił się gro-Barlurka.

– Owszem. Jak tylko Ulfik zostanie Najwyższym Królem – odrzekł tamten, nawet się nie zatrzymując. – Zapraszamy na kazanie Lortheima do świątyni Talosa, jeśli chcesz lepiej poznać kolebkę Nordów. Lepsze to niż czytanie tablic z suchymi opisami – dodał, mijając Orsimera.

– Właściwie szukam...

– Nieważne, kogo szukasz. Chodź, nie pożałujesz! – odpowiedział gromowładny, spiesząc się. – Na kazaniach Lortheima bywają wszyscy, Ulfrik też! – krzyczał, ponieważ znajdował się już w pewnej odległości od rozmówcy.

– Cóż, zgaduję, że bardziej nie da się mnie obrabować... – szepnął ork, po czym starał się dogonić gnającego rebelianta.

Świątynia Talosa znajdowała się w jednym z podobnie wyglądających budynków, a wewnątrz przybytku zebrał się cały tłum wiernych, tak że wszystkie miejsca siedzące były już zajęte. Panował ponadto półmrok, gdyż przez wąziutkie okna z witrażami sączyły się tylko skąpe smugi światła, zaś kandelabry z trudem oświetlały ciemne zakątki. W pewnym sensie królująca w środku atmosfera mistyczności – o ile można mówić o takim pojęciu – skutecznie odciągała uwagę od ubożego wystroju; wyłącznie ogromna rzeźba boga-człowieka w absydzie – albo czymś na jej kształt, bo może Nordowie mieli własne określenie na tę część fary – wyróżniała się spośród zużytych ław, wysłużonej kazalnicy i starej posadzki. Nawet w tych ciemnościach Golzagor bez trudu odnotował liczną reprezentację

gromowładnych, zapelniających czołowe miejsca, którzy zapewne chętnie zarezerwowaliby dla siebie stalle, gdyby kościół był w nie wyposażony.

Na samym przodzie, tuż obok jasnowłosych towarzyszy, zasiadał dżentelmen w złoconej zbroi, mieniącej się odbitymi płomykami niezbyt licznych świec, a kiedy Orsimer wypatrzył z daleka zarost na jego twarzy, wiedział, że to Ulfrik, poszukiwany dowódca powstańców. Wydawało się, że od czasu ucieczki z Helgen przybyło mu kilka zmarszczek, tak jakby przeżycie spotkania z katem i smokiem odcisnęło na nim piętno, choć w drodze do Rzecznej Puszczy zachowywał powagę godną jarłowi. Cóż, pomyślał ork, czasem traumatyczne wydarzenia docierają do niektórych osób poniekąd z opóźnieniem. Pełni buzujących emocji, napompowani podnieceniem mężnie stawiają czoła przeciwnościom, a później, kiedy podekscytowanie ustępuje, trwożą się przeszłymi wypadkami. Taka osobowość.

Wtedy na środku pojawił się kapłan w granatowej kapie haftowanej srebrną nicią, wszyscy powstali i rozpoczęło się nabożeństwo. Ork czuł się trochę nieswojo w otoczeniu osób obytych, bowiem pierwszy raz uczestniczył w modłach ku czci Talosa, jednakże część „oficjalna” liturgii – jak Orsimer nazwał ją w myślach – podczas której m.in. odczytywano opowieści o kolejach losu Tibera Septima, szybko się zakończyła, zgromadzeni umościli się w ławach, celebrans wstąpił na ambonę, a z jego ust wydobył się głos tak donośny, że zdawało się, iż mury drżą. Niezwykła egzorta wyszła ze słów po-krzepienia, brzmiać z każdą chwilą coraz bardziej intrygująco:

– Siostry i bracia! W tych trudnych czasach, gdy herezja rozprzestrzenia się w Tamriel niczym zaraza, pustosząc dusze naiwnych, w czasach, gdy bestie ziejące ogniem, jakich od tysiącleci nie widzia-
no, niszczą miasta i wsie, odbierając życie niewinnym, łatwo o boleść wsączającą się w serca. A ja mówię: sursum corda! Tak jak gangrena zaczyna się od rany w jednym li tylko miejscu na ciele, a prowadzi do śmierci całego człowieka, tak frasunek w jednej sprawie wiedzie do rezygnacji ze wszystkich ideałów. Baczcie więc, by gorycz wami nie owładnęła, bo licha łyżka dziegciu smak całej beczki dobrego miodu psuje, tak że patoka na nic się już nie nada, chyba że na wyrzucenie psom.

Żołnierze z uznaniem potakiwali lekko głowami, pochwalając barwne porównanie sługi Talosa. Ten natomiast, odważnie spoglądając słuchaczom w oczy, kontynuował:

– Ktoś mógłby zapytać: „Co możesz wiedzieć o smutku, klecho? Mam przecież kochanego kuzyna, co zginął, choć dobry był z niego człowiek i pracowity, a po śmierci jego rodzina stała się biedna jak mysz kościelna. Jakżeż mam się weselić?!”. Bracie, siostro! Czyż Talos nie płynął pod prąd swych czasów? Czyż nie stawiał czoła niemożliwemu? W wieku ledwie 25 lat, jako młody generał, miał dokonać

cudu: poprowadzić niewielką, źle wyszkoloną i nieprzygotowaną armię na Sancre Tor, twierdzę nie do zdobycia, otoczoną urwiskami i wodą. Jak uważacie: jakie myśli nurtowały wówczas jego serce? Czy sądzicie, że pytał samego siebie: „Co ja wnet pocznę, mając do dyspozycji garstkę głodnych ludzi? Nie podołam wyzwaniu, bo marne są nasze szanse, a wróg przeważa pod każdym względem”? Och, jakże jesteście w błędzie, małej wiary! Przypomnę wam, co Tiber Septim uczynił! Talos, prawdziwy bóg i prawdziwy człowiek, choć wówczas ledwie gołowąs, ruszył dzielnie na cytadelę! – grzmiał, zaś jego owieczki dawały chętne ucho wzniosłym słowom. – Sprytnie pozostawił na stanowisku mały oddział wojowników, zwabiając dufnego nieprzyjaciela w zasadzkę, podczas gdy sam, w eskorcie większości armii, wdarł się do Sancre Tor. – Uczynił przerwę, rad z wrażenia, jakie wywarł. – Czy Talos uzalał się nad swym losem? Czy dziś, gdyby żył, widząc zepsucie toczące Tamriel, a w szczególności Skyrim, trwożyłby się przeciwnika albo jakiego smoka? Powiadam wam, bracia i siostry: byłby on pierwszą osobą, która staje w szranki! Dzielnie, odważnie, nie oglądając się za siebie! Cóż, że wielu szlachetnych wojów zapłaciło najwyższą cenę? Cóż, że cne matki, żony i córki nasze opuściły ten świat? Wszyscy bliscy, osoby najmilsze szlachetnym sercom, uczują właśnie w Sovngardzie wraz z Talosem, a przyglądając się z obłoków świętej sprawie, jaką jest przywrócenie wiary w Najwyższe Bóstwo, błogosławią zbożnej misji!

Dom modlitwy wypełnił się szumem poruszonych słuchaczy. Nordowie szeptali między sobą, zdawali się pochwalać naukę płynącą z ambony, lecz kaznodzieja snuł dalej wątek, podnosząc głos, który teraz rozbrzmiewał wśród kamiennych ścian jak ogień niebieski między chmurami:

– Z tego właśnie względu kacerze z Aldmerskiego Dominium uderzają w religię Talosa! Wiedzą wszak dobrze, że nasza wiara, rezerwuar łask wszelakich, zasadza się na kulcie Tibera Septima, a jeśli podniesie się rękę na ten fundament tożsamości Nordów, zawładnie się całym ich życiem. Tak myślą oni, elfy, jednak czy mają słuszność? – postawił pytanie, opierając się na kazalnicy i pochylając tak bardzo, że nieomal zgiął się wpół. – Nie. Nordowie bowiem to lud silny, odważny i bogobojny! Wymierzając policzek Talosowi, zadali cios każdemu z nas, siostry i bracie! Dziś dyktują nam, w co mamy wierzyć, jutro pewnie będą nakazywać, w jakim języku należy mówić!

Te słowa nagrodzono nieśmiały mi oklaskami, zaś orator przystąpił do apologii.

– Jak jednak możemy odpowiedzieć tym, którzy podważają oczywisty fakt, że Talos jest bogiem? Po pierwsze, wynika to wprost z jego ziemskiej egzystencji, gdy dokonywał licznych cudów. Zdobycie Sancre Tor to tylko jedna z rzeczy niemożliwych do osiągnięcia przez zwykłego człowieka. Wspomnijmy

choćby wiedzę Talosa, jego zdolności i nieomylny kunszt wojenny, by zrozumieć, że chociaż zaliczał się do wspaniałych wojowników, nigdy nie pozbawił nikogo życia! Zdobywał, lecz nie zabijał; jednoczył, choć nie gwałtem i przemocą. Dostrzegli to nawet dowódcy nieprzyjaciół, kiedy Talos wkroczył majestatycznie do górskiej twierdzy. Widząc, z kim mają do czynienia, dawni wrogowie oddali mu pokłon, korząc się przed jego obliczem. Po drugie, do osoby Talosa odnosi się wiele przepowiedni zwiastujących przyjście władcy i króla jednoczącego wpierw Tamriel, a później Nirn. Siwobrodzi z Wysokiego Hrothgaru oznajmili wyraźnie, że zostanie on cesarzem, łącząc to, co rozproszone, jak również pokona elfy, wysłanników zła, i ich parszywą magię. Skąd siwobrodzi mogliby to wiedzieć, gdyby Talos nie był bogiem, lecz człowiekiem? Ich proroctwo brzmiałoby wtedy niepoważnie i – przede wszystkim – nigdy nie sprawdziłoby się.

Orsimer podziwiał mowę za umiejętność wypowiadania się i zjednywania sobie ludzi. Kazanie Lortheima prezentowało się przystępnie, klarownie, a jednocześnie przekazywane przez kapłana treści brzmiały przekonująco i prawdziwie jak to, że po nocy nastaje dzień. Gromowładni w świątyni też zdawali się zachwyceni, co potwierdzały łzy spływające po policzkach roślących facetów, służących przecież w armii. Kto by pomyślał? Tacy hardzi, dumni, znaczeni bliznami po wielu bitwach rozrzewnili się, słuchając strzelistej przemowy... Chyba rację miał wojownik spotkany niedaleko Pałacu Królów, że trudno zrozumieć Norda, zignorowawszy jego duchowość.

Punkt kulminacyjny w egzorcie kapłana miał jednak dopiero nadejść.

– Wreszcie po trzecie – perorował duchowny – każdy z nas doświadcza obecności Talosa w swym życiu. Siostrzo, bracie! Czujesz to w głębi serca, gdy chwalisz córkę za dobre zachowanie; wiesz o tym, płacząc w komnacie umarłych; zdajesz sobie sprawę z istnienia Talosa, kiedy podziwiasz precudowne lilie i kiedy obserwujesz swych towarzyszy kładących się pokotem na polu chwały... W każdej chwili ulotnej egzystencji dostrzegasz jego wolę, albowiem on nad wszystkim czuwa, choć wciąż nie rozumiemy, dokąd nasza ziemską wędrówką prowadzi i jaki jest jej sens. Z trudna kiedy zwracasz się wprost do niego, modląc się czy to w zaciszu własnej izby, czy w tej ubogiej świątyni, mając świadomość, że żadne słowo nie zostanie zapomniane.

Teraz, jak mniemał ork, brakowało już tylko puenty kończącej homilię – ostatniego akcentu, który niczym akord rybałta sfinalizuje nabożną pieśń. I jak na zawołanie – życzenie Orsimera, ołśnionego solennym nastrojem wypełniającym przestrzeń, zostało spełnione.

– Tak należy zaripostować Altmerom! – konkludował celebrans. – Tak trzeba im mówić: nawróć się, rewokuj, bo Talos nie jest wyłącznie przeciętnym bogiem wśród ośmiu innych, jakich czci wielu, lecz jest On Bogiem. Jedynym prawdziwym. – Ostatnią część podkreślił, przeciągając z wolna sylaby. – Powiedz, sestro i bracie, czy w takiej sytuacji można się czegoś lękać...?

Cisza.

Golzagor był chyba jedynym, który pojmował powagę tej deklaracji. Nie akceptując wiary w pozostałe bóstwa, rzucono niejako wyzwanie zaborcom z Aldmerskiego Dominium, gdyż elfy – odwrotnie niż mieli odtąd czynić Nordowie – uznawały wszystkie bożki oprócz Talosa, a to oznaczało batalię, jakiej Tamriel od wieków nie uświadczyło. Skyrim zostanie rozbite w puch, zaś Lortheim niechybnie oszalał, komunikując tak postępowy dogmat w czasach wojennej zawieruchy.

– Mówię wam, moi drodzy: cieszcie się! Weselcie się chwilą, w której poznaliście prawdę, a Światłość Talosa niech wskazuje wam drogę – zakończył kapłan, natomiast pomnikowe oblicze Najwyższego zdawało się nieustannie śledzić bieżące wydarzenia.